

WSPOMNIENIA PANI ANNY ŚLĄCZKI (13.09.1989 r.)

=====

Nazywam się Anna Ślączka, ale nazwisko moje panieńskie, które nosiłam, gdy byłam w Rosji, brzmi Kamyk. Urodziłam się 15.11.1934 r. w Krynicy, woj.nowosądeckie. We wrześniu 1939 r. moja rodzina - tzn.rodzice, mój starszy brat Andrzej, dziadzio ze strony mamy i ja - opuściliśmy Krynice, gdyż ojciec mój był urzędnikiem zarządu uzdrowiska, które ewakuowano w obawie przed Niemcami. My również w obawie przed nimi opuściliśmy Krynice i z całym transportem wyjechaliśmy na wschód. Pamiętam już wtedy bombardowania. Wszystkie moje wspomnienia są jakby fragmentaryczne - miałam wtedy niecałe 6 lat - więc sądzę, że nadmiar wrażeń spowodował, że część z nich umknęła mi zupełnie. Pamiętam naloty, naszą ucieczkę, pociąg. W końcu znaleźliśmy się we Lwowie, gdzie mieliśmy bliską rodzinę, mieszkała tam siostra mojej mamy. Zatrzymaliśmy się u nich.

Minęło kilka miesięcy. W grudniu 1940 roku mój ojciec z dwoma panami postanowił - jak to się mówiło - "przez zieloną granicę" nielegalnie powrócić do Krynicy. Tam został przecież dorobek całego życia - wyposażone i umeblowane mieszkanie; myśmy przecież po prostu z walizkami w rękach opuścili Krynice. No i kilku panów, w tym mój ojciec, zdecydowało się wracać, by pilnować dobytku. Nie było oczywiście mowy, żeby mogła wracać cała rodzina, bo przecież byłam ja, pięcioletnia, mój dziesięcioletni brat, nie mogliśmy wziąć udziału w tak niebezpiecznej "wycieczce".

Ojcu udało się przedostać do Krynicy. Tymczasem Lwów został zajęty przez wojska radzieckie. Rosjanie ogłosili, że dla tych, którzy chcą wrócić do Polski, będą co jakiś czas organizowane transporty do kraju. Ale po to, by dobrze to przygotować, należy podać swój lwowski adres. Oczywiście moja mama, podobnie jak mnóstwo osób przekonana, że wszystko jest szczerą prawdą, zgłosiła nasz lwowski adres na ul.Kochanowskiego. Podała swoje dane, moje, brata i dziadzia - jako uciekinierów.

Potem w domu zapanował jakiś niepokój. Pamiętam, że w nocy jeździły jakieś ciężarówki, wszyscy byli podenerwowani. Którejś nocy - właściwie nad ranem - łomot do drzwi. Żołnierze z karabinami. I pytają: "Czy tu mieszka ...." i wymieniają nazwisko mojego dziadzia. "No tak". "A Andrzej Kamyk?" Mama się przeraziła, bo myślała, że chcą zabrać mężczyzn i chłopców, więc mówi: "No tak, ale to przecież dziecko". "A wy jak się nazywacie?". Mama wymieniła swoje nazwisko, a oni mówią: "Wszystko się zgadza, Zbierać się". Rodzina wpadła w popłoch, wszyscy stracili głowę. Potem mama mówiła mi, że ten oficer zachował się

przyzwocie w tym sensie, że pozwolił dzieciom coś zjeść. Mama w zdenerwowaniu pakowała nas - bo coś spakować trzeba było. Jechaliśmy w nieznane - wiadomo tylko było, że Polaków wywożą. Dokąd - to było otoczone tajemnicą.

Po upływie około pół godziny wsadzono nas do dorożki, oczywiście pod strażą żołnierzy. Zawieziono nas na dworzec kolejowy. Dworzec był bardzo pilnowany, nie było mowy, żeby można było go opuścić. Można było natomiast wejść na teren dworca, bo było wiele rodzin, które dla bezpieczeństwa były rozdzielone, np. małżonkowie mieszkali osobno. Gdy nagle rano mąż dowiedział się, że jego żona została skierowana do transportu, zgłaszał się dobrowolnie. Natomiast opuścić dworca nie było można.

Wagony były towarowe, bydłące. Życzliwi "współpasażerowie" - tłum cały (to był czerwiec 1940, gorąco) powiedzieli mamie, że trzeba podać swoje nazwisko, bo ktoś może nas szukać, np. rodzina będzie chciała coś przynieść jeszcze przed odjazdem. My nie mieliśmy właściwie nic - dosłownie jedną walizeczkę, w którą mama coś tam w pośpiechu upchnęła. I rzeczywiście - rano usłyszeliśmy nasze nazwisko. Pracownik wuja przyjechał tam i na taczkach przywiózł nam dobytek, który się potem okazał skarbem bezcennym. To były jakieś materace, odzież i nawet miska. To było wielkim skarbem, bo po pierwsze pozwoliło nam w jako takich warunkach na początku tam egzystować, a potem w ogóle przeżyć, gdyż mama to wszystko później sprzedawała. I po niedługim chyba czasie - bo po jakichś tam kilkunastu godzinach - ruszył transport przez Rosję.

Cały czas byliśmy bardzo pilnowani. To było tymbardziej dziwne, że w większości transport ten składał się z kobiet (jak moja mama), których mężowie zostali w Polsce; ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z żadną polityką ani działalnością, którą można by było ewentualnie określić jako działalność zagrażającą ustrojowi Związku Radzieckiego. Były tam żony oficerów, żony policjantów, sporo ludności pochodzenia żydowskiego, lekarze, adwokaci. Ale o ile dobrze pamiętam, przede wszystkim było bardzo dużo kobiet, których mężowie poszli na wojnę, lub - tak jak mój ojciec - ze względów zdrowotnych nie byli zmobilizowani. Czyli sensu właściwie trudno się doszukać, czemu akurat na nas to padło. Po prostu byliśmy uciekinierami - uciekaliśmy przed Niemcami - i zagarnięto nas bez jakiegokolwiek, wytłumaczonego dla nas powodu.

Pamiętam, że transport jechał dość długo. Stawaliśmy na jakichś stacjach, przynoszono nam "kipiatok", czyli gorącą wodę. Pamiętam, że zawsze wołano: "najpierw dzieciom, najpierw dzieciom". Dawano nam też coś do jedzenia, jakąś kaszę.

Przejechaliśmy przez tunele pod górami - zapamiętałam je, bo wydawało mi się wtedy, że w dzień robiło się ciemno jak w nocy. Potem część wagonów odczepiono gdzieś za Uralem, a resztę wraz z nami cofnięto z powrotem do części europejskiej. Tak znaleźliśmy się w Maryjskiej Republice. Mało kto wie, gdzie to jest. Jest to znajdująca się na północ od Kazania republika autonomiczna ze stolicą Joszkar - Oża. Ulokowano nas w osiedlu zwanym "Oziero" - jezioro. Najbliższą miejscowością, do której mama chodziła piechotą, żeby załatwić różne formalności (była mężem zaufania na osiedlu), to były Morki.

Początkowo mieszkaliśmy w ziemiance wygrzebanej po prostu w ziemi, gdyż miejscowi mieszkańcy nie byli przygotowani na przyjęcie takiej ilości Polaków. Początkowo na osiedlu było 360 Polaków i Żydów. Można sobie wyobrazić, jak czuli się ci, co nie przygotowali się do takich niesamowicie ciężkich warunków.

Dobrze jeszcze, że było lato (tam jest klimat kontynentalny), bo gdybyśmy się tam znaleźli zimą, to sądzę, że wiele osób umarłoby od razu. Mimo to warunki były niezwykle trudne. Traktowani byliśmy jak więźniowie bez prawa opuszczania osiedla. Gotowało się na palenisku ułożonym z cegiełek, paliło się chrustem. Te panie, które przed wojną miały służbę, zupełnie nie wiedziały, jak się do tego zabrać. Szczęściem mojej mamy było to, że mój dziadek był leśniczym, więc mama była od dziecka przyzwyczajona do życia na łonie przyrody, zaradności i samodzielności. Mama w ogóle była wspaniała. Natychmiast postarała się o jakąkolwiek pracę - o ile wiem - na początku była praczką. To była bardzo ciężka praca, ale nie było innej możliwości. Po prostu trzeba było - tak to się mówi "walczyć o byt", ale ja to rozumiem bardzo dosłownie.

Potem wybudowano baraki. To było już dla nas bardzo dużo. W baraku mieszkaliśmy do końca wojny, a nawet dłużej, bo do 1946 roku.

Mieszkaliśmy w jednej izdebce zbudowanej z drewna. uszczelnionej mchem. Izba była jasna, gdyż barak miał duże okna, choć czasami zimą marzyło się nam, by ich w ogóle nie było. Oczywiście o żadnej elektryczności, o żadnych wodociągach nawet się nie śniło. Przez sześć lat nie widziałam żarówki elektrycznej ani wodociągu. Potem, gdy wróciliśmy do Polski, mama powiedziała mi: "zgaś lampę", a ja wdrapałam się na stół i dmuchałam na klosz, bo po prostu kompletnie nie rozumiałam, na czym polega elektryczność.

Mama przez cały czas pracowała niesamowicie ciężko. Między innymi obsługiwała łaźnie, tzw. "banie". Z jeziora nosiło się wiadrami wodę, nagrzewało, nalewało się na gorące kamienie. Potem gotowała w stołówce dla drwali, których w osiedlu było bardzo dużo, bo teren był zalesiony. Nie było tam żadnego przesmyku tylko lasy, lasy, ogromne sosnowe lasy.

Potem mama pracowała przez jakiś czas w polu, a przy końcu gotowała w lesie, w kotłach ziemniaki dla koni. Wstawała o świcie, by na polu zebrać przemarznięte ziemniaki, które potem gotowała i zanosila do stajni. A wokół osiedla krążyły stada wilków. Prawdopodobnie to front spowodował, że wilki przesuwały się, wyjadały całą zwierzynę - nie pamiętam tam żadnego dzikiego zwierzęcia - a potem zbliżały się coraz bardziej do osiedla. Dochodziło do tego, że potrafiły nawet spod samego osiedla porwać dziecko. To było bardzo niebezpieczne i pamiętam, że mama nie pozwalała mi oddalać się od osiedla. Niebezpieczeństwo było realne, gdyż wygłodzone wilki potrafiły nawet latem rzucać się na ludzi.

Początkowo, jak mówiłam, byliśmy internowani, bez prawa opuszczania osiedla. Potem, gdy Sikorski zawarł ze Stalinem umowę o tworzeniu się armii, wielu Polaków - także z naszego osiedla - wyjechało na południe. Myśmy nie mogli się ruszyć, bo dziadek był już ciężko chory.

Wspaniale trzymał się przed wojną, był wesołym człowiekiem, ale w tych niesamowitych warunkach, w tym mrozie i głodzie i stałej obawie o jutro, bardzo szybko tracił siły. To jest takie dla mnie bolesne wspomnienie. Dziadek był z pochodzenia Czechem, ale wybrał sobie Polskę jako ojczyznę, bo bardzo ją pokochał. I taka ironia losu, że jego prochy zostały tam, w tej Maryskiej Republice, gdzie dziś już pewnie śladu nie ma po drewnianym krzyżyku postawionym na zapomnianym cmentarzu. Takie właśnie były wojenne losy Polaków.

Mama więc nie mogła opuścić osiedla - chory dziadek, dwoje dzieci, gdzie tu ruszyć? Zwłaszcza, że bardzo niepokojące wieści dochodziły do nas z południa Rosji. W końcu poszła do naczelnika osiedla, dosyć porządnego człowieka - choć na pewno musiał być członkiem NKWD - by zasięgnąć od niego rady, czy jechać, czy zostać. On powiedział, że zostając tutaj ryzykuje się, że będzie straszny głód - bo już wtedy był, a może być jeszcze większy - bo wojna. Ale front tu chyba nie dojdzie. "Decydujcie" - mówi - "macie prawo wyjechać".

W końcu mama zdecydowała się zostać. Wraz z nami zostało jeszcze kilka osób. Pamiętam - starsze małżeństwo z Jarosławia, państwa Grabowskich panna Bełdowna, pani Walczakowa z córką Krysią, z którą się przyjaźniłam - tylko tyle zostało nas na tym osiedlu. Pamiętam, że na początku była pani Potocka z synem Tomkiem, pani Konopnicka z córką. Ale one - wraz z kilkoma innymi rodzinami - przeprowadziły się na tzw. "Trzydziesty pierwszy uczestok" - to było inne osiedle, w którym było nieco więcej Polaków. Moja mama stwierdziła, że wszędzie będzie nam jednakowo, więc nie ma sensu się przeprowadzać.

Była tam czteroklasowa szkoła - oczywiście tylko rosyjska. Wszystkie

zajęcia odbywały się w jednej izbie, jedna nauczycielka uczyła wszystkie dzieci. Były to głównie dzieci Rosjan, dwie Polki - Krysia Walczakówna i ja. Pozostali uczniowie to były dzieci rosyjskie i maryjskie.

Mój brat skończył cztery klasy i na tym się jego edukacja w Związku Radzieckim skończyła. Poszedł do pracy. Latem pracował w gospodarstwie rolnym. Zimą jego zajęciem było polewanie dróg wodą, by koniom łatwiej było ciągnąć drewno. W najbliższej okolicy pracowało dużo drwali - ścinali sosny, które ściągnąć trzeba było na brzeg rzeczki, a gdy wiosną rzeka wzbierała - drewno gdzieś potem spławiano dalej.

Z końmi to była osobna historia. Na początku były konie olbrzymie, wspaniałe, mocne. Niestety - musiały także dużo jeść, a tego miejscowa ludność nie rozumiała. Więc te biedne koniska powoli rozstawały się z życiem. I wreszcie sprowadzono koniki małe, kosmate. To były dzikie koniki ze stepów, które oswajano. Były bardzo odporne i byle czym się zadawały. I były znacznie lepiej przystosowane do klimatu i naszych ciężkich warunków.

Jak wspomniałam - brat pracował w gospodarstwie rolnym, zaopatrującym osiedla w żywność, a w końcu "awansował" na koniuszego. Bardzo dużo przeżył, ale nigdy nie opowiadał swoich przygód, żeby się mama nie martwiła. Dopiero po latach dowiedziałam się, że gdzieś tam z tymi końmi tonął, kiedyś go wilki napadły, gdy jechał saniami i rzucał płonące siano za sobą, bo to był jedyny sposób - wilki bały się ognia.

Jako pracujący fizycznie brat dostawał chyba 40 dkg chleba na dzień, a chleb był ciężki, twardy, więc była to tylko malutka kromeczka. Z tamtych czasów pozostało mi poszanowanie dla chleba, dla jedzenia, ale przede wszystkim dla chleba, bo to był dla mnie pewien symbol. Na tamtych terenach rosły głównie ziemniaki, cebula, kapusta - nie było wcale drzew owocowych. Przez te wszystkie lata nie widziałam wcale owoców. I odtąd nie potrafię wyrzucić kawałka chleba do śmietnika. To tak, jakby raz na zawsze zakodowane było, że jak wyrzucę, to kiedyś może mi tego kawałka zabraknąć.

Mama była przed wojną młodą, świetnie wyglądającą blondynką, a gdy wróciliśmy do Polski, była chudziutka, siwiuteńka. To ona odczuła najciężej pobyt tam. Bo to jednak straszne uczucie patrzeć na dziecko, które jest głodne i nie można mu dać jeść. Na domiar złego zachorowałam tam na malarię, bo to była okolica malaryczna. Mama i brat cierpieli na t.zw. "kurzą ślepotę", wynikającą z braku witaminy A (brak tłuszczu). Gdy chorowałam na malarię - byłam bardzo wyczerpana i miałam wysoką

gorączkę - mama sprzedała mój medalik za parę litrów mleka. Było to prawdopodobnie mleko kozie, bo krów jakoś sobie nie przypominam. Kozy tak. W ogóle zawsze byłam tą najmłodszą i najsłabszą, więc mama i brat odejmowali sobie jedzenie od ust, żeby mnie w coś tam zaopatrzyć, czy dać jednego ziemniaczka więcej. Czasem dla kogoś jest ważne, że dostanie złoty pierścionek, a ja jako pamięć o wyrzeczeniach mamy i brata zachowałam to, że mnie dawano ten ziemniaczek, czy kawałek chleba więcej. Bo ja po prostu byłam ciągle głodna - wszyscy byliśmy głodni. Pamiętam, że brat kiedyś na imieniny ofiarował mi całe wiadro malin. Albo zrobił mi - po tylu latach pamiętam - wózeczek dla lalki, chociaż lalki nie miałam. Tam w ogóle nie było mowy o żadnych zabawkach. Brat jest bardzo uzdolniony, jeśli chodzi o prace ręczne - bardzo ładnie rzeźbi w drewnie do dziś.

Ale nadszedł taki moment, w którym miałam iść do szkoły. Obowiązek szkolny zaczynał się od 8-go roku życia. Mama niesamowicie pilnowała, żebyśmy się nie wynarodowili. Wieczorami śpiewała nam piosenki patriotyczne - stąd ja po wojnie wszystko znałam - i "O mój rozmarynie" i inne. Bardzo pilnowała też tego, żeby w domu nie powiedzieć ani jednego słowa po rosyjsku. Bo przecież myśmy stale obcowali z Rosjanami, a w tym wieku szalenie łatwo przyjmuje się nowy język. Tym bardziej, że czekała mnie szkoła rosyjska. No i mama postanowiła, że nauczy mnie czytać i pisać po polsku. Ale jak? Trzeba było mieć książkę - a nie było żadnych. Wyprawiła się na ten "31 uczestek" i przyniosła I tom "Nad Niemnem" Orzeszkowej. Nauczyłam się czytać na tej książce. I teraz jak biorę elementarz do ręki - taki śliczny, taki kolorowy - to myślę sobie, że w gruncie rzeczy nawet w tak ciężkich warunkach jak tam, człowiek może bardzo dużo osiągnąć. Chęć jest najważniejsza. Ja prawdopodobnie bardzo chciałam nauczyć się czytać po polsku - sprawa ambicji - i chyba w dość krótkim czasie nauczyłam się czytać i pisać zupełnie poprawnie. Nie wiem, czy dlatego, że było to wtedy dla mnie takie ważne, zdecydowało to potem o wyborze zawodu, bo skończyłam filologię polską i jestem nauczycielką. Gdy uczniowie grymasili na "Nad Niemnem" - jakie nudne, to sobie pomyślałam - co oni opowiadają? Przecież to cudowna, wspaniała powieść.

W każdym razie do szkoły rosyjskiej poszłam już czytając i pisząc zupełnie poprawnie po polsku. Na czym się pisało? Zdobycie zeszytu to był osobny rozdział. Pamiętam, że były jakieś gazety rosyjskie - mama obcinała czyste marginesy, potem to się sklejało i w ten sposób powstawała kartka papieru, na której się pisało. W szkole rosyjskiej nauka szła mi bardzo dobrze, <sup>kiedyś do szkoły przyjechała wizytacja - zapamiętałam to bardzo dobrze,</sup> bo nauczycielka kazała mi czytać fragment o Krymie. A Krym był dla mnie szczytem wspaniałości i niezwykłości, marzeń.

Śródziemnomorski krajobraz, słońce, jakieś palmy, ciepła woda, jakieś owoce południowe - kiedy ja nawet zapomniałam, jak wygląda jabłko. Przeczytawał więc ten fragment. Wtedy jeden z tych wizytatorów powiedział do mnie: "Ty nie jesteś Rosjanką?" A ja mówię: "Nie, ja jestem Polką. A czy źle przeczytałam?". On powiedział: "Bardzo dobrze przeczytałaś, ale masz takie warkocze, jakich żadna z dziewcząt nie ma." Bo dla utrzymania czystości - ponieważ nie było mydła - po prostu golono włosy i dziewczynkom i chłopcom. A ojciec mój marzył zawsze, że ja będę miała warkocze. I ambicją mamy było zachować włosy i wrócić do Polski - w co mama nigdy nie wątpiła - z warkoczami. Pamiętam, że smarowała mi głowę naftą - nieprzyjemny zabieg, ale kto wie - podobno to nawet wzmacnia włosy. A w każdym razie chroniło przed insektami i mogłam mieć te piękne, ciężkie warkocze, z których nie bardzo byłam chyba dumna. Pewnie wolałabym, żeby mi też ogolono głowę. No, ale nosiłam warkocze i panowie inspektorzy od razu zauważyli, że różnię się od pozostałych dzieci.

W szkole rosyjskiej spędziłam prawie 4 lata. Raz tylko wróciłam do domu z płaczem i oznajmiłam, że nie pójdę więcej do szkoły. Uczono nas jakiejś piosenki - nie pamiętam, co to było. Dość, że tam były takie słowa: "Pomniat psy atamany, pomniat polskije pany." I moje uczucia patriotyczne tak zostały dotknięte, że powiedziałam, że nie pójdę nigdy więcej do szkoły. Z tego wnoszę, że widocznie mama dobrze umiała te uczucia patriotyczne rozbudzić we mnie.

Tak miałam raz na zawsze zakodowane, że muszę mówić poprawnie po polsku, że zdarzyło mi się raz zbudzić w nocy, żeby spytać mamę, jak jest po polsku "karandasz", czy coś w tym rodzaju. Pamiętam, że chodziło o przedmiot związany ze szkołą. Czyli tak bardzo się bałam, żeby nie zapomnieć polskiego języka.

Spaliśmy na takim (nazywając po imieniu) "wyrku" zbitym z desek - spaliśmy razem, a pod spodem pies. Całe życie kochaliśmy zwierzęta i jakąś tam psinę przygarnęliśmy. Była też z nami kotka Szarusia. Biedne, głodne były, ale nie chciały nas opuścić. Psina chowała się w nocy pod łóżko, ponieważ wilki "spacerowały" wokół osiedla, rano widziało się ślady koło domu - czuły pewnie psa.

Nadszedł koniec wojny - w ogóle nie mogę sobie przypomnieć tego momentu. Pewnie dlatego, że w naszym życiu on nic nie zmienił. Bo Rosjanie w ogóle nie przyjmowali do wiadomości, że my chcemy wracać do Polski. Mam wrażenie, że było to związane z jakąś sprawą dokumentów. Nie mogę sobie przypomnieć, jak to dokładnie było. W każdym razie nic nie wskazywało początkowo na to, że moglibyśmy wrócić do Polski. Byliśmy właściwie całkowicie bezradni. W każdym razie mama chodziła piechotą do Morek - 25 km - żeby jakoś tam

próbować naciskać, dowiadywać się ciągle, kiedy nas wypuszczą. I kiedyś - w końcu - to był chyba marzec 1946 r. - przyszła listonoszka i mówi, że ma "bumagę" - papier zezwalający na nasz wyjazd do Polski. To była radość, z którą mało co może się równać. Ja nie pamiętałam już niczego sprzed wojny, ale jednak to uczucie, że Polska to jest jakieś wspaniałe miejsce, że to jest zupełnie inne życie i wszystko co dobre, to jednak jest w Polsce. I tak jak nie potrafię wyrzucić kawałka chleba, tak samo zostało mi do dziś przeświadczenie, że być w Polsce, to jest coś wspaniałego. Lata powojenne i późniejsze dałyby dużo do myślenia i do dyskusji, ale w każdym razie wtedy tak tęskniliśmy do Polski, że nie przyszłoby mi i dzisiaj do głowy, że można gdzie indziej szukać smaczniejszego kawałka chleba. ciągle myśl o powrocie, to była myśl o dostatnim życiu, o najedzeniu się do syta. A to było wówczas największe marzenie.

Wracamy do Polski - to był dzień niezapomniany. To już dokładnie pamiętam. W dość krótkim czasie dano nam t.zw.podwody, czyli sanie i konie. Do najbliższej stacji kolejowej było 50 kilometrów. W każdym razie ruszyliśmy. Z pakowaniem nie było żadnego kłopotu - nędzne resztki naszego dobytku mama zapakowała w jakiś tam węzełek. Zostawiliśmy i psa, i kota. Mama bardzo nad tym ubolewała, ale powiedziano nam, że nie można wziąć zwierząt ze sobą. Dopiero potem się okazało, że ludzie cichcem przemycali swoich czteronożnych ulubieńców i nikt tego nie sprawdzał. Naszym zwierzętom znaleźliśmy dobrych opiekunów, bo psina była ulubienicą całego osiedla, a kotka była bardzo łowna i często ją pożyczano - głównie dlatego, żeby przepędzała szczury, bo nie myszy były problemem, ale tabuny szczurów, które biegały po drewnianych belkach pod sufitem i okropnie piszczwały. Te zwisające ogony pozostały w mej pamięci jako niesamowicie przykre wspomnienie. Innym takim niemiłym wrażeniem, które zapamiętałam, był migotliwy blask łuczywa, którym oświetlaliśmy izbę. Po prostu takim smolnym, sosnowym łuczywem wetkniętym za piec. Od tego czasu nie lubię, gdy mi coś świetliście miga przed oczami. To jest piękne, kiedy w kominku płonie ogień, ale kiedy to było jedynym źródłem światła, a przy tym trzeba było lekcje odrabiać, czy coś pisać, było to bardzo trudne. Jak mama przy tym jeszcze szyła ?

Tymczasem wracamy do Polski. Po dwóch dniach drogi saniami, znaleźliśmy się w końcu na stacji kolejowej. Wagony, którymi mieliśmy jechać, były oczywiście towarowe. Miejsca do spania zbite były z desek, ale oblodzone. Na wierzchu leżała słoma. Pamiętam jeszcze, że w tym miasteczku, gdzie była stacja, mama za ostatnie pieniądze kupiła mi pieczony, słodki pierożek. Och ! Nie znałam smaku takich wspaniałości.

Tym samym pociągiem jechała grupa młodych mężczyzn, którzy byli



internowani zupełnie osobno w jakimś osiedlu. Gdy zobaczyli, że w wagonach są przeważnie kobiety, dzieci i starcy, rozdzielili się po kilku do każdego wagonu. Pomagali nam zdobywać drzewo (na środku wagonu stał metalowy piecyk), potem to drzewo rąbali czy piłowali, żeby nadawało się na opał.

Rozpoczęła się długa podróż - oczywiście - z licznymi przystankami. Pamiętam, że Rosja była okropnie zniszczona. Ogromne pola - to było chyba gdzieś nad Oką - całe zaścielone wrakami czołgów, szczątkami samolotów i dział. Najgorszy był widok wsi - a właściwie nie wsi, tylko resztek po wsiach. Tylko sterczące kominy. To był ponury widok kraju zniszczonego wojną. A wszyscy mówili, że pewnie Polska tak samo wygląda, jeśli nie gorzej.

Po drodze trzeba było wagon jakoś ogrzewać i coś gotować. Więc jeśli przy drodze były sągi, mężczyźni wyskakiwali, porywali drewno i wskakiwali z powrotem do wagonów. Oczywiście - można powiedzieć, że to była kradzież, ale nam nie dostarczano żadnego opału. Jak zwał, tak zwał - przeżyć jakoś trzeba było. Oczywiście - na najbliższej stacji milicja czy wojsko pokrzykiwali, że Polacy kradną drzewo. Pamiętam, że zawinięto taki kloc drewna w koc i posadzono mnie na nim na wypadek rewizji. Bardzo się wtedy bałam, że to się wyda. Ale innego wyjścia nie mieliśmy.

W końcu znaleźliśmy się w Rzeszowie. Na dworcu był punkt instytucji, która zajmowała się repatriantami. Przygotowywali dla nas ciepły posiłek. Pamiętam, że dostaliśmy wtedy jajka - to wywarło na mnie ogromne wrażenie. Potem rozdzielono nasz transport. Większość wagonów jechała na Śląsk, a my dostaliśmy się do najbliższej możliwie miejscowości - do Nowego Sącza. W Sączu mama odnalazła swoją dawną przyjaciółkę, która jej nie poznała. Bo mama przed wojną była elegancką blondynką, a tu nagle - siwiuteńka, chudziutka, w łapciach z łyka i w łachmanach. Podobnie brat. Tylko ja - najmłodsza - miałam jakieś buty. I dlatego ta pani z początku mamy nie poznała. A gdy wszystko się wyjaśniło - dopiero było wzruszenie, łzy i radość niesamowita. Powiadomiono też ojca, który przez całą wojnę mieszkał w Krynicy, a ponieważ nie było pociągu - gdyż Niemcy wysadzili tunel - ojciec przyjechał karetką uzdrowiska. Nie poznałam tatusia. Na pytanie "Nie poznajesz?" odpowiedziałam : "Nie. Tatuś był w brązowym ubraniu". Tak sobie jakoś zapamiętałam ojca, gdyż podobno w momencie rozstania we Lwowie tatuś miał na sobie brązowe ubranie. A teraz przyjechał po nas w popielatym!

Pojechaliśmy razem do Krynicy. To był raj! To było coś wspaniałego, coś, co przechodziło wszystkie nasze - na pewno skromne oczekiwania.

Moim marzeniem był talerz zupy, dużo ziemniaków i dużo chleba. Tymczasem ojciec otworzył spiżarnię i pokazał nam całe skrzynki przeróżnych zapasów. Była to żywność otrzymywana głównie z UNRA - pomocy amerykańskiej, przeznaczonej chyba dla wojska, bo były to przeważnie konserwy mięsne. Była także czekolada i inne rzeczy, o których mi się w ogóle nie śniło, których smaku w ogóle nie pamiętałam.

Tymczasem przygotowano obiad - przyszły chyba siostry tatusia. I nagle okazało się, że my z bratem zupełnie nie wyobrażamy sobie, że może istnieć coś takiego jak drugie danie. Skoro tylko podano zupę, to jedliśmy ją i jedli do "upadłego". W końcu ojciec musiał długo nam tłumaczyć, żebyśmy nie jedli więcej zupy, bo będzie jeszcze drugie danie, a nawet deser. Sporo czasu minęło, zanim pojeliśmy, że wcale nie trzeba się najadać zupą do syta. Kiedyś przy stole wynikła dyskusja na temat tego, co kto uważa za najlepszą rzecz do jedzenia - taką, o której się marzy, gdy myśli o jedzeniu. No więc ktoś powiedział, że banany, ktoś inny - "Chałwa", ktoś - "czekolada", a my z bratem chórem powiedzieliśmy - "CHLEB". I mówił mi potem szwagier - mąż mojej ciotecznej siostry, który był akurat w Krynicy - że to wywarło na nim ogromne wrażenie. Mówił: "Nie opowiadanie o waszej nędzy, głodzie i niepewności jutra, ale ten jeden wyraz "chleb" przekonał mnie o tym, co tam przeżyliście."

Powrót do Polski przekroczył moje wyobrażenie. Myślałam, że wrócić do Polski - to mieć kredki, to znaczy zjeść do syta chleba i ziemniaków. Okazało się, że oprócz chleba i ziemniaków są tu jarzyny, są owoce. Wróciliśmy do kraju w kwietniu, więc początkowo owoców nie było. Ale można je było znaleźć w słoikach, przesypane cukrem, były cytryny i były też piastka, cukierki, czekolada i inne smakołyki z paczek UNRA.

Przez długie lata ojciec nie miał o nas żadnych wiadomości. Troskę o nas przypłacił chorobą serca, która stała się przyczyną jego śmierci wkrótce po wojnie. Ale tymczasem był jeszcze w dobrej - wydawało mi się - kondycji; pamiętam, że w pierwszą niedzielę po powrocie mama pięknie uczesała mi te warkocze. Ojciec wziął za rękę i bardzo dumny poprowadził do kościoła, żeby wszyscy widzieli, że żona i dzieci wróciły.

Wkrótce potem poszłam do polskiej szkoły. Trafiłam do 4 klasy na podstawie jakiegoś prowizorycznego egzaminu. Miałam kłopoty tylko z geografią, ponieważ zupełnie nie znałam polskiej mapy. Ale większy kłopot był z moim bratem, który miał 16 lat i 4 klasy szkoły podstawowej. Więc nadganiał jak mógł - latem brał jakieś korepetycje i w ogóle uczył się jak szalony. Niestety - ze szkoły wzięli go do wojska. Przez kilka lat był zawodowym oficerem. Sądzę, że nie bardzo się nawet z tego

wojska wrywał, bo ja studiowałam, ojciec już nie żył i mama sama chyba nie byłaby w stanie mnie utrzymać na studiach, mimo wielkiego poświęcenia. Wtedy brat przysyłał mi co miesiąc pieniądze. W końcu zdał maturę w wojsku i tam zaczął studiować, ale ponieważ zwolniono go na skutek choroby - skończył studia już na Uniwersytecie Warszawskim. Jest prawnikiem.

Często jestem zapytywana o mój stosunek do Rosjan. Byłam zawsze wychowywana w duchu tolerancji w pełnym tego słowa znaczeniu. I bardzo wyraźnie odczuwam różnicę między sprawcami naszej niedoli, a tymi ludźmi, którzy tam żyli. Oni zawsze odnosili się do nas życzliwie. Zresztą - jak oni - chodziliśmy w łapciach z łyka, byle jakich łachmanach, głodni. Teraz to już jest świadome, bo w końcu znamy sprawców i wiemy, kto był temu winien, a przedtem to po prostu wynikało z tego, że oni byli tak jak i my biedni, głodni, tylko że my byliśmy bogatsi o to, czego oni nie mieli - o nadzieję. A to było bardzo duże bogactwo.

Spisała: Magdalena Rydel

Dziękuję bardzo za wykozystanie  
moich wspomnień w druku.

Gdynia, 9 I 00

Anna Słobowska